Paweł Mościcki

Wciąż nic się nie zmieniło: dla naszego społeczeństwa dołączenie Polski do wojny będzie katastrofą. Ale nasze elity polityczne i medialne dążą do niej wytrwale - tu też nic się nie zmieniło.

„When I make friends with enemy. I destroy the enemy”.
Abraham Lincoln

„Najpierw ona mi powiedziała, że ma dwie wiadomości: dobrą i złą. Przechylając się przez bar: To którą chcę najpierw. Ja mówię, że dobrą. To ona mi powiedziała, że w mieście jest podobno wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną”.1
Dorota Masłowska

Wojna czy nie wojna?

Przeżywamy w dzisiejszej Polsce osobliwy moment. Osobliwy pod wieloma względami, ale chyba najbardziej pod względem mentalnym. Za wschodnią granicą toczy się od ponad trzech lat wojna, a my nie wiemy dokładnie co nas w zasadzie z nią wiąże. Poza tym, że jesteśmy obiektem wojny hybrydowej. Ale kto nas w niej atakuje? I czy na pewno ci, którzy podobno nas bronią, nie atakują nas także? Coraz trudniej o dobrą orientację w tym grząskim terenie.

W Polsce nie można dziś powiedzieć: „to nie nasza wojna”. To znaczy można, ale to nie jest fraza, której sens będzie gdziekolwiek dyskutowany. Będzie raczej poddawany egzorcyzmom i spiskowej diagnostyce, niezależnie od tego, kto głosi to hasło i jak je rozumie, sama jego treść wydaje się wręcz dowodzić zdrady narodowej. Przyznam szczerze, że od 2022 roku nie rozumiem tego założenia. Zwłaszcza, że równie niepożądane, by nie powiedzieć wyklęte, było do niedawna również głoszenie twierdzenia odwrotnego. Kto mówił, że jesteśmy na wojnie z Rosją, że jako członek NATO jesteśmy w wojnę na Ukrainie aktywnie zaangażowani, kto wie, może mieliśmy nawet coś wspólnego z jej genezą, popełniał nie mniejsze faux pas, niż ci, którzy twierdzili, odwrotnie, że to nie nasza wojna.

Dynamika informacyjna też jest, można powiedzieć, schizofreniczna. Z jednej strony, gdy na teren Federacji Rosyjskiej spadną jakieś drony lub pociski, wszyscy u nas świętują, gratulując Ukraińcom wytrwałości w walce, odwagi, brawury. Nawet jeśli ofiarami są cywile, są to cywile rosyjscy, więc mają za swoje. Komentatorzy głównego nurtu, nie mówiąc o samozwańczych propagandystach z internetu, wpadają w taką ekstazę jakby sami zwyciężali na polu bitwy. Ale gdy to Federacja Rosyjska atakuje cele na terenie Ukrainy, podnosi się u nas za każdym razem chór oburzenia, a śmierć nawet pojedynczych cywili staje się dowodem na ludobójcze intencje Moskwy. Czyli wygląda to tak, jakby wojna każdego dnia zaczynała się, oczywiście

niesprowokowana, od nowa. I wówczas nastaje czas gorączkowych apeli o „zwiększenie pomocy", o większą ilość przekazywanej broni, o no fly zone, itd. W przestrzeni publicznej zaczyna buzować domaganie się tego, co w dużej mierze dawno już uruchomiono. W tych komunikatach, NATO wciąż na zmianę to przyznaje się, to wyrzeka udziału w wojnie, zachęca do niej a zarazem traktuje ją jako zło, którego należy za wszelką cenę uniknąć. Sama wojna jest na zmianę najgorszym koszmarem i ekscytującą przygodą, skandalem i świętym obowiązkiem.

Na żadnym z tych etapów nie ma jednak miejsca ani na rzetelną informację na temat ofiar, ani na wskazanie zależności między jednymi atakami a drugimi. O powodach i realnych stawkach tej wojny nie wspominając. W mediach i oficjalnych przekazach polityków zachodnich narracja jest jednolita a zarazem szalona. I w swym szaleństwie doskonale odporna na jakiekolwiek krytyczne głosy i niewygodne pytania. Oto Rosja, niczym III Rzesza, planuje inwazję na całą Europę, ba na cały „wolny świat" i w tym planie gotowa jest na wszelkie rodzaje okrucieństwa, zbrodnie i podstępy. Skoro po jej stronie nie ma racjonalności, nie możemy domagać się jej od argumentów naszych rządzących i propagandystów. W końcu nie da się racjonalnie wyjaśnić działań wariatów, prawda? Nic więc dziwnego, że w tej narracji Rosja próbując zająć cały Stary Kontynent zarazem ostrzeliwuje nieustannie samą siebie, wysadza w powietrze własne rurociągi, fabrykuje zamachy na opanowane przez siebie elektrownie, a nawet dokonuje zamachów terrorystycznych na własnym terytorium. W swym szaleństwie walczy w końcu nie tylko z demokracją, prawem i dobrem, ale i z samą sobą. To nie jest obieg informacji, tylko propagandowy gabinet luster.

W tej osobliwej sytuacji, my w Polsce właściwie nie wiemy – a nawet nie mamy prawa wiedzieć – czy nasz kraj jest w stanie wojny czy nie. Czy można być tylko trochę na wojnie? I czy te subtelności naszej własnej zbiorowej psychiki są z pewnością dostępne tym, którzy mogą być żywo zainteresowani wiążącą i jednoznaczną odpowiedzią? Wygląda na to, że ten osobliwy podwójny zakaz – uznania i zaprzeczenia swojego udziału w wojnie – z góry odcina nam dostęp do rzeczywistości, umieszcza naszą narodową psyche w rejestrze urojeniowym.

Może więc należałoby inaczej postawić pytanie albo postawić je w innym tonie. Czy chcemy wojny z Rosją czy nie? Jeśli nie chcemy, to dość dziwnie się jako państwo zachowujemy. Bo trudno nie odnieść wrażenia, że co najmniej od 2022 roku robimy wszystko, co się da, żeby do niej doprowadzić. I niewiele, by nie powiedzieć nic, żeby trwającą wojnę zakończyć, a w związku z tym uchronić się przed następną, tym razem już z własnym, bezpośrednim i jawnym udziałem. Więcej, w naszym obiegu medialnym dominuje teza, że to zakończenie tej wojny jakąś formą pokoju, a nie jej dalsze trwanie lub eskalacja, są dla nas w Polsce większym zagrożeniem.

„Jedyną zaskakującą rzeczą w ataku Putina na Polskę jest to, że nastąpił on tak późno (Rosja zaprzecza, że wysłała drony na polskie terytorium). (…) Ludzie nie poświęcają dziś wiele uwagi ‚prawom' neutralności, ale przez wieki aż do II wojny światowej było zrozumiałe, że jeśli rząd jakiegoś kraju dostarcza broni i sprzętu wojskowego bezpośrednio do innego kraju na wojnę z krajem trzecim, to czyni to dostawcę w świetle prawa uczestnikiem wojny a więc obiektem ataku".2 Kto pisze te słowa? Nie jakiś zakochany w Rosji Versteher, tylko jej najbardziej konsekwentny wróg, arcykapłan neokonserwatystów – Robert Kagan. Tak, to jego żona, Victoria Nuland, rozdawała bułki na Majdanie, a także dziwnym trafem ustalała z ambasadorem

USA skład ukraińskiego rządu po obaleniu Janukowycza. Skoro więc nawet on zdaje sobie sprawę, w jakiej jesteśmy sytuacji, może warto byśmy i w Polsce zastanowili się nad tym na poważnie?

Na dzień dzisiejszy wojna przebiega w sposób asymetryczny. Z jednej strony kraje NATO dozbrajają wojska ukraińskie, pomagają im logistycznie, i wywiadowczo, podczas gdy odpowiedź ze strony Rosji dosięga jedynie terytorium Ukrainy. Ujmując rzecz cynicznie, a cynizm zachodniej klasy politycznej jest tu bezbrzeżny, w tym wspólnym wojennym przedsięwzięciu „my" dajemy pieniądze i broń, a Ukraińcy dają mięso armatnie. I ponieważ konsekwencje jak na razie spadają tylko na tych ostatnich, u nas można bez opamiętania zagrywać się w roli wojennych bohaterów. W USA właśnie odżyły rozmowy o udostępnieniu Ukraińcom pocisków Tomahawk. Ich wystrzeliwanie jest niemożliwe bez technicznego wsparcia, a nawet bezpośredniego uczestnictwa wojska amerykańskiego. Mielibyśmy wówczas sytuację, w której kraj NATO bierze udział w ostrzale terytorium Federacji Rosyjskiej. Nie trzeba być geniuszem, żeby zauważyć, że symetryczną odpowiedzią ze strony Moskwy byłoby… ostrzeliwanie krajów NATO jako uczestników wojny. Czy naprawdę chcemy, żeby nad naszymi głowami oprócz atrap dronów ze styropianu zaczęły latać teraz pociski hipersoniczne? Naprawdę? I co niby my, Polacy, mielibyśmy z tego mieć? Czy może ufamy, że ci krwawi szaleńcy z Rosji będą zachowywali się bardziej odpowiedzialnie od nas i poprzestaną na respektowaniu dotychczasowego wojennego "układu"? Dziwna to jednak metoda: liczyć na opanowanie wariatów, nieprawdaż?

Jeżeli zaś chcemy tej wojny, to może odsłońmy i nazwijmy to „my". Kto chce tej wojny i dlaczego? Bo na pewno nie jest to polskie społeczeństwo, które w znakomitej większości konsekwentnie wypowiada się przeciwko tego rodzaju inicjatywom. Czy to „my" jest europejskie? NATO-wskie? Atlantyckie? I jaki jest jego stosunek do tego „my", które, jeśli wierzyć oficjalnym dokumentom, wciąż sprawuje tu zbiorowo władzę i swoją wolą wyznacza kierunki prowadzonej polityki? Dotyczy to zresztą nie tylko Polski, ale całej Europy. Ostatnio swoją gotowość do wojny wyraził Donald Tusk w przemówieniu na Forum Bezpieczeństwa w Warszawie. Stwierdził, że jak najbardziej jest to nasza wojna i że w zasadzie nie o Ukrainę w niej chodzi, ale o „możliwość przetrwania całej cywilizacji Zachodu". Nie rozumiem tylko jak dołączenie do wojny państw NATO miałoby tę cywilizację obronić. Myślę, że III wojna światowa jest raczej najlepszym przepisem na jej zniszczenie, a właściwie doskonałą okazją do załatwienia się z całą cywilizacją ludzką na dobre.

Okazuje się, że nasza klasa polityczna jest tak zdegenerowana, że w trakcie trwania ludobójstwa w Gazie, przeciwko któremu, w najlepszym razie, nie robi absolutnie nic, kompromitować się jeszcze odgrzanym patosem „zderzenia cywilizacji". Jak widać dokonywana na oczach całego świata masakra Palestyńczyków przez złote dziecko zachodnich elit nie kompromituje tej cywilizacji ani trochę? Nie zagraża jej przetrwaniu? I o jakiej to konkretnie cywilizacji zachodniej mówi Tusk? Bo jak dotąd za każdym razem, gdy ktoś machał społeczeństwom przed oczami tą flagą to po to, żeby ukryć jakieś własne potworne czyny lub zamiary. Inna rzecz, że i Rosjanie jakoś nagle przejęli się jej losem i uważają, że dziś to oni wcielają jej najwyższe wartości, gdy cywilizacja Europy popada w degenerację. Skoro wszyscy tak bardzo zabiegają o utrzymanie przy życiu czegoś tak jak się okazuje chwiejnego jak zachodnia cywilizacja – ciągle zagrożona przez coraz to nowe figury zła – jest to najlepszy

dowód, że mamy do czynienia z pustym chochołem.

Oczywiście: „To nie nasza wojna” nie jest opisem jakiegoś stanu faktycznego, ale rodzajem postulatu. Jego sens zawiera się w zdaniu: „nie chcemy wojny”. Nie mamy w niej interesu, nic na niej nie zyskamy, nic dobrego nas przez nią nie czeka. Czy to stwierdzenie naprawdę jest wbrew polskiej racji stanu? Przecież nie chodzi o to, że wojna na Ukrainie nie powinna nas obchodzić, podobnie jak los cierpiących z jej powodu ludzi. Wręcz przeciwnie, właśnie dlatego, że ta wojna zbiera tak krwawe żniwo nie powinniśmy czynić jej naszą, nie wolno nam rozszerzać jej na kolejne terytoria, kolejne społeczeństwa. Właśnie ze względu na solidarność z Ukraińcami, a także Rosjanami, powinniśmy odmówić podzielenia ich losu. I jak najszybciej doprowadzić do dyplomatycznego rozwiązania tego konfliktu. Tymczasem zainteresowanie wojną ze strony państw zachodnich ma od samego początku zupełnie inny wymiar. I to właśnie o obronę urojeń o supremacji Zachodu oraz ochronę zysków i przywilejów zachodniej elity finansowej i politycznej, a nie o ochronę Ukraińców czy pokoju w Europie w niej chodzi. I w tym sensie klasa polityczna Unii Europejskiej, podobnie jak kolejni prezydenci USA, znajduje się na kursie kolizyjnym również z własnymi społeczeństwami. Czyli żeby prowadzić dalej tę wojnę nie cofnie się przed prowadzeniem wojny z nami wszystkimi. Już zaczęła.

Wojna polsko-ruska

Oczywiście wiadomo, że my możemy wojny nie chcieć, ale z pewnością chcą jej Rosjanie. Udowadniają to na każdym kroku, prawda? W końcu prowadzą wojnę w innym kraju, czy trzeba jeszcze wyraźniejszego sygnału, że za chwilę napadną również na nas? Nie mamy wprawdzie sporów terytorialnych, historyczne kłótnie podgrzewamy umiejętnie sami, ale to wciąż oni nie myślą o niczym innym, tylko o inwazji na nasz kraj. W końcu wiadomo, że celem Putina jest prężenie muskułów pod paryskim Łukiem Tryumfalnym! Skąd wiadomo? Niestety, nie wiadomo skąd wiadomo.

To znaczy, przepraszam, wiadomo. Rosjanie twierdzą bowiem i neokrągło powtarzają, że tego nie chcą, a jak oni coś mówią, to z pewnością prawda jest odwrotna. Gdy Putin mówi, że pada deszcz, wiemy dzięki temu, że świeci słońce, a jak mówi, że czegoś nie chce to znaczy, że chce. Jedyne, co by nas w związku z tym w Polsce uspokoiło, to gdyby wypowiedział nam wojnę. Wówczas byłoby przecież jasne, że nie zamierza jej prowadzić.

Spróbujmy jednak zachować powagę. Czy Rosja jest naszym wrogiem z definicji i z zasady, czy też może się nim stać, albo wręcz nim staje, w wyniku konkretnych okoliczności czy konkretnej historycznej sytuacji? Czy jesteśmy na wojnę z Rosją, a przynajmniej wrogie stosunki z Rosją, po prostu skazani prawem jakiegoś dziejowego przekleństwa albo wyroku? Jeśli jesteśmy, to dlaczego? Która to metafizyczna instancja odpowiada za ten marny los?

Jeśli konflikt nie jest konieczny i zadany z góry przez przeznaczenie, to może kondycja naszych stosunków z Rosją zależy też trochę od nas? Może część z tego, co się dzieje wynika i z naszych własnych decyzji, deklaracji i zachowań? I może tu też leży odpowiedzialność polityków i społeczeństwa za to, żeby tej wojny jednak nie było? A jeśli nie zależy od nas, ale też nie jest po prostu zrządzeniem losu, to od kogo? Kto w tej sprawie podejmuje wiążące decyzje?

Od dawna wydaje mi się, że w tej kwestii trzeba po prostu trochę zejść na ziemię i zapytać: jakie są warunki dobrych albo w miarę pokojowych relacji z Rosją? I czy wśród nich jest jakaś przestrzeń na naszą odpowiedzialność za kształt tych relacji? Niestety, tych pytań też najwyraźniej nie można zadawać, bo w polskich głowach, przynajmniej tych, których treść eksponowana jest publicznie, Rosja jest i ma pozostać ulepionym ze sprzeczności i legend wiecznym wrogiem. Ma trwać jako twór złożony z samych wyjątków i osobliwości. Niemal magiczny.

Nie da się w Polsce dyskutować o Rosji jak o każdym innym państwie, bo już sama ta propozycja wydaje się łamać jakieś potężne tabu. Jest to oczywiście efekt głęboko zakorzenionej w nas, a także latami systematycznie wgrywanej w społeczny software rusofobii. Pisał o tym bardzo trafnie Bronisław Łagowski w książce Polska chora na Rosję, która dziś powinna stać się dla każdego lekturą obowiązkową. Już w tekście z 2000 roku pisał on: „Polscy eksperci na dobrą sprawę niczego nie muszą się o Rosji dowiadywać, a jeśli czegoś nie wiedzą, to też wiedzą: fakty niezgodne z tym, co oni wiedzą, są dziełem rosyjskich służb specjalnych”.3 Popatrzcie na Rosjan w polskich filmach. To nie są ludzie z krwi i kości, to są fantastyczne zjawy, cały tłum chochołów reprezentujących zawsze jakąś odwieczną zasadę głębokiego zaburzenia. Sami pijacy, mafiozi, zboczeńcy, którzy mają nam do powiedzenia tylko: „Ja was Paliaki nienawiżu”.

Tylko wśród takich bohaterów naszej zbiorowej świadomości czujemy się u jakoś u siebie. Wystarczy spojrzeć na tytuły popularnych w Polsce książek o Rosji. Czy diabeł mieszka na Kremlu? – oto pytanie na miarę problemów XXI wieku! A może jednak Dlaczego Rosjanie są inni? Gdyby ktoś chciał się dowiedzieć czegoś o relacjach damsko-męskich z filmu Baby są jakieś inne, to chyba nie byłby to dobry pomysł, prawda? Dlaczego więc uważamy, że tego rodzaju wiedza to nie tylko coś wartościowego, ale wręcz polski wkład do wiedzy powszechnej?

W dominującym w Polsce dyskursie medialnym Rosja pełni rolę czegoś, co Slavoj Žižek nazwał kiedyś “wzniosłym obiektem ideologii”.4 To figura, która odrywa się od swych realnych wymiarów i zaczyna organizować jako rezerwuar naszych fantazji i projekcji. Wypełnia szczeliny naszej politycznej wyobraźni, maskuje sprzeczności dyskursu politycznego, uzupełnia go o doskonale funkcjonalny naddatek emocji. Taką rolę pełni u nas Rosja, której obiegowa figura nie ma nic wspólnego z realnym krajem, ponieważ nie ma odsyłać do rzeczywistości, ale organizować nasze zbiorowe pragnienie, dyscyplinować język i wypełniać ewidentne braki w orientacji klasy polityczno-medialnej w realiach współczesnego systemu światowego.

Wygląda to trochę tak jak w powieści Doroty Masłowskiej Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną, gdzie cyklicznie organizowane w mieście „dni bez Ruska” i nieustannie trwająca w tle wojna, nie mają za wiele wspólnego z samą fabułą i losami bohaterów, ale muszą się dziać, żeby zapewnić przedstawianemu światu elementarną spójność. Nie wiadomo nawet, co podkreśla narratorka, czy jacyś Ruscy w ogóle się w tym mieście znajdują. Ale jest to zupełnie drugorzędne wobec konieczności trwania w tle nieustającej wojny, bez której miasto – i cała mieszkająca w nim wspólnota – po prostu by się rozpadły. Można to przenieść na dzisiejszą Polskę jako całość. Kim byśmy byli i cóż mielibyśmy robić w tym skomplikowanym świecie, gdybyśmy nie prowadzili odwiecznej wojny z Ruskimi? Kim byliby nasi politycy, gdyby nie chronili nas przed tym zagrożeniem? Na czym miałaby się opierać ta wspólnota narodowa

czy umowa społeczna, gdyby odebrać jej codzienny trening rusofobii? Podpowiada to Tusk: upadłaby cała konstrukcja „cywilizacji Zachodu", która bez zewnętrznego zagrożenia musiałaby mierzyć się ze swoim Realnym. A to najlepiej widać, gdy spojrzy się dziś na Gazę. Któż chciałby się rozliczać z takiego dziedzictwa?

Problem polega na tym, że rusofobia nie jest dobrym narzędziem do opisu Rosji, podobnie jak islamofobia nie jest dobrym punktem wyjścia do zrozumienia islamu, a antysemityzm kluczem do tradycji żydowskiej. Rusofobia nie jest nawet trafną krytyką Rosji, bo żeby jakiś kraj realnie krytykować, trzeba przynajmniej starać się opisywać go jako część rzeczywistości, a nie pchać w mityczne opowieści o Dobru i Złu. Dziś wręcz w dobrym tonie jest całkowite nierozumienie czy nawet odmowa rozumienia Rosji; nierozumienie staje się niemal zasadą moralną. Tak jakby poznanie czegoś, czyniło nas podatnymi na zły wpływ poznawanego obiektu. To nie jest myśl krytyczna, tylko gusła. Jak głosi stare przysłowie "kiedy rozum śpi, budzą się demony". Dlatego dziś w roli myślenia krytycznego występuje nie racjonalna analiza, ale rodzaj krytycznej demonologii, równie nawiedzonej jak wyprojektowane w jej obiekt fantazje.

W związku z tak ukształtowaną mentalnością nic dziwnego, że Polacy od trzech lat żyją w czymś na kształt zbiorowej halucynacji. Trwale przekonano nas bowiem do wizji świata, w którym skutki nie mają przyczyn, a zasady nie obowiązują wszystkich tak samo. W takim świecie wydarzenia za każdym razem zyskują znaczenie nie w łańcuchu zależności przyczynowo-skutkowych, ale w polu wiecznie powtarzających się mitów i jak boomerang wracających, pierwotnych emocji. Wszystko, co robi Rosja z konieczności wyłania się w polu naszego doświadczenia z "pustyni Realnego", z jakiejś totalnej abstrakcji spowitej mgłą uprzedzeń, lęków i kompleksów.

A więc drony nad Polską nie są efektem eskalacji napięć, w której nasz kraj od 2022 roku – by nie powiedzieć od roku 2014 – bierze czynny udział, tylko dowodem na to, że Rosja to Zło! Gdy to coś, co wlatuje do Polski okazuje się jednak ukraińskie, jak w przypadku Przewodowa, to jest to jedynie dowód na to, że Rosja to Zło. A jak nic nie wlatuje i właściwie nic się nie dzieje, to tylko zachęta do tego, żeby Zło Rosji zwalczać tym intensywniej. To nie jest polityka. To jest psychoza.

Polowanie na samych siebie

Tymczasem jednak nasze działania, wbrew najszczerszym intencjom, produkują realne skutki. Na przykład takie, że dziś w polskiej debacie publicznej nie można wyrazić nawet fantazji o innych relacjach z Rosją niż wojenne, a Ci, którzy potrafią albo chcą to sobie wyobrazić, dokonują czegoś na kształt myślozbrodni. Jako społeczeństwo jesteśmy już na takim etapie rozpsychotyzowania, że nikt nie pyta „czy" mamy iść na wojnę z Rosją i po co, ale jedynie „jak" i „kiedy".

W Polsce panuje zarazem coraz większa pewność, że jesteśmy pod przemożnym wpływem Rosji. Dziś każdy wywiad z „ekspertem", każdy komentarz autorytetu, zaczyna się i kończy rytualnym wezwaniem do uważności na „rosyjską dezinformację", kontroli inaczej myślących, piętnowania odszczepieńców. Trwa to od ponad trzech lat, a można odnieść wrażenie, że ten wpływ nie tylko się nie zmniejsza, ale wręcz geometrycznie rośnie. Im bardziej walczymy z

rosyjską propagandą, tym bardziej wszechmocna jest ona w naszych umysłach.

Rosja jest wszędzie i nigdzie. Im bardziej nieuchwytna, tym bardziej niebezpieczna. Nikt nie może być pewny czy właśnie nie zagnieździła się również w jego głowie, w jego słowach. A nuż przechodził niepomny gdzieś obok hałdy faktów wyrzuconych na śmietnik przez polskie media, a wyprodukowanych najpewniej przez rosyjskie służby i coś z niej sobie wygrzebał. Ich przyczółki są wszędzie i rozwijają się z galopującą prędkością. Minister obrony, prezydent, były prezydent, szef dyplomacji, profesor, dziennikarz – wszyscy w ułamku chwili mogą zapaść na tę gangrenę. Wystarczy jedno słowo, jeden gest, by dowieść swojego podporządkowania odwiecznemu wrogowi. Nikt nad tym do końca nie panuje, dlatego na wszelki wypadek lepiej samemu wskazać co i raz palcem jakichś Rusków. Wykazać się, upolować jakieś „onuce", co to mają nie takie poglądy jak trzeba albo zadają pytania.

Jeśli wierzyć oficjalnym raportom specjalnych komisji rządowych, rosyjskie jest już po trosze każda forma niezgody na status quo – utyskiwanie na UE, krytyka polityki zagranicznej rządu, niezadowolenie z kondycji Zachodu, ale też obyczajowy konserwatyzm, który trudno w Polsce uznać za obcą naleciałość. Cokolwiek nie działa w naszych społeczeństwach należy złożyć na karb wpływów Putina. Nawet jeśli tym czymś jest podstawowy fakt demokracji polegający na tym, że ludzie mają najczęściej różne poglądy na tę samą sprawę. Rosjanie zjadają coraz szersze zakresy rzeczywistości w takim tempie, że niedługo zawłaszczą już wszystko. Ciekawe kiedy pochwała UE, umiłowanie własnego rządu, przywiązanie do Zachodu i obyczajowy liberalizm też padną jej łupem. To zapewne tylko kwestia czasu.

Mechanizm tropienia „onuc" jest identyczny jak stosowane już do znudzenia oskarżanie wszystkich wokół o antysemityzm przez państwo izraelskie. Nie zadawaj pytań, nie miej wątpliwości, nie czytaj historii, nie podważaj oficjalnej wersji. Siedź cicho i przeżywaj z innymi ten dwubiegunowy cykl antyrosyjskiej euforii i antyrosyjskiego przerażenia. To jedyny teren, na którym możesz się realizować jako obywatel tego kraju, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Zastanawiające jest tylko, że część opinii publicznej, która odgadła już arkana szantażu antysemityzmem, zupełnie nie jest w stanie zorientować się jak to działa z tymi „onucami". A dokładnie tak jak knebluje się krytyków Izraela zarzutami o antysemityzm, tak krytyków nieodpowiedzialnej polityki Zachodu wobec Rosji przedstawia się jako jej ukrytych agentów czy przynajmniej miłośników. To znów mechanizm tak stary jak stara jest propaganda wojenna i to, że znakomita większość polskiej inteligencji nie umie przebić się przez tak prymitywne retoryczne zasieki jest niestety smutnym dowodem tego, jak szybko traci ona swą społeczną użyteczność.

Nic dziwnego, że w dobrym tonie stało się wołanie o zamordyzm. Przyznam jednak szczerze, że widok podcastera, który domaga się, jak ostatnio Jan Śpiewak, by służby cenzurowały internet, to jednak nowy poziom oszołomienia. I bardzo dobra ilustracja tego, że to organizowane od paru lat nieustanne polowanie na „onuce", jest w najgłębszym sensie polowaniem Polaków na samych siebie. Jedynym efektem będzie bowiem ograniczenie ich własnej wolności i trwałe destabilizowanie kraju, w którym już o żadnej kwestii nie będzie można racjonalnie debatować. Przy każdej krytyce rządzących będzie można wyciągnąć z rękawa Ruskich i uruchomić procedury dyscyplinujące.

W debacie publicznej na trwałe zagnieździło się coś, co należałoby nazwać ekstatycznym konformizmem. To nie jest już konformizm regularny, kojarzony zwykle z pasywnością, bierną i zrezygnowaną akceptacją status quo. Niechęcią do podejmowania wysiłków, które mogłyby naruszyć obowiązujący konsensus. Nie, w tej wersji konformizm jest działaniem zapalczywym, gorączkowym, wręcz transgresywnym. To wojownicze pilnowanie tego, żeby nawet najgłupsze i najmniej trwałe formy „wersji oficjalnych" były respektowane bez najmniejszych odstępstw. I manifestuje się ono wręcz rewolucyjnym przekonaniem o własnej słuszności, tak jakby najgłębsze podporządkowanie interesom rynków finansowych, przemysłu zbrojeniowego, skorumpowanej klasy politycznej i medialnego establishmentu było de facto aktem oporu. Ten rodzaj postawy jest symptomem, że jako społeczeństwo wchodzimy już powoli w etap, który Henryk Elzenberg skojarzył niegdyś z totalitaryzmem. „Nacisk psychiczny, jaki wywiera społeczeństwo jest bodaj cięższy do zniesienia niż ordynarny przymus mniej lub więcej fizyczny, wywierany przez mechanizmy państwowe. (…) Groza totalitaryzmu na tym polega, że mnoży on niejako jedno przez drugie: fizyczny nacisk państwowy przez pseudomoralny nacisk społeczny – wytwarzając coś, czego w tym stopniu nigdy chyba jeszcze człowiek nie zaznał".5

Nie twierdzę, że zaczynamy żyć w totalitaryzmie, to byłaby, mam nadzieję, przesada. Ale jeśli w nim nie żyjemy, przynajmniej na razie, to wbrew ekstatycznym konformistom, którzy skądinąd od rana do nocy siedzą na barykadach z napisem „Demokracja" i bronią jej przed wszystkimi, którzy myślą inaczej. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, oni pierwsi „przydadzą się" przy prawdziwych represjach.

Militaryzm nie jest patriotyzmem

To czyja jest w takim razie ta nowa zimna – albo nowa dziwna – wojna, która toczy się i nie toczy zarazem pokazując, że prawdziwych patriotów logika dwuwartościowa dawno przestała obowiązywać? Może najlepiej odpowiedzieć na to pytanie zastanawiając się nad tym, kto na niej zyskuje a kto traci?

Trzeba tu przywołać świetną krytykę militaryzmu Róży Luksemburg, która pokazywała, że wojna jest najbardziej skrajną postacią walki klas, w której to klasa pracująca, jest pierwszą ofiarą. Miliarderzy, oligarchowie, rynki finansowe tylko się na niej bogacą. Zawarta w Broszurze Juniusa dokumentacja temat tego, jak partie socjaldemokratyczne w 1914 roku z dnia na dzień dosłownie wysadziły w powietrze swoje ideały jest najdoskonalszym dostępnym opisem tego, co stało się z polską i europejską lewicą, a przynajmniej z jej przeważającą częścią, zaraz po 24 litego 2022 roku.

Skądinąd jeśli Rosja chce wojny z Europą, a więc i z Polską, to dlaczego właśnie ci, którzy w polskiej debacie publicznej przestrzegają przed nadmierną eskalacją i militaryzmem mieliby być „onucami"? Czemu ten sam zarzut czy podejrzenie nie dotyczy tych, którzy wydają się nie mieć żadnych hamulców w dociskaniu pedału gazu w kierunku konfrontacji? W końcu to konsekwencje ich działań będą na rękę Rosji, skoro ta konfliktu chce!

Zwolennikom permanentnej eskalacji należy może powiedzieć: od ponad trzech lat realizujemy Wasz, konfrontacyjny scenariusz. Jakie są jego rezultaty? Czy dziś jesteśmy bardziej bezpieczni niż w 2022 roku? Czy jesteśmy bliżej uregulowania kwestii bezpieczeństwa nie tylko

na Ukrainie, ale i w całej Europie? Żyje nam się lepiej? Gospodarka krajów Starego Kontynentu jest w rozkwicie a rosyjska upada? I kto odpowiada za to, że nie? Ci, którzy chcieliby innej polityki, czy ci, którzy chcą jeszcze więcej tego samego?

Niemożliwa do wypowiedzenia dziś w Polsce, a skądinąd stara prawda jest taka, że militaryzm nie jest patriotyzmem. Militaryzm jest sposobem na doprowadzenie do społecznej katastrofy w najlepszej, a do anihilacji w najgorszej wersji. Militaryzm oznacza bowiem drastyczną pauperyzację całych grup społecznych, upadek zabezpieczeń socjalnych i usług publicznych, a także wzmożenie kontroli i represji ze strony państwa. Zyski będą bajońskie, ale tylko dla bardzo wąskiej grupy najpewniej zewnętrznych inwestorów. Jeśli ktoś twierdzi, że oto dzięki wojennemu wzmożeniu i przestawieniu gospodarki na tryb wojenny osiągniemy jakieś długofalowe społeczne zyski, to po prostu kłamie.

Patriotyzmem nie jest też zrytualizowana nienawiść do inaczej myślących, ani nawet odruchowa niechęć do innych krajów. Wiem, że dziś największą cnotą wydaje się udział w zbiorowym festiwalu nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie (co zaczyna też powoli dotykać również Ukraińców), ale niezależnie od tego, kto co o tym kraju myśli, nie rozwiązuje to absolutnie żadnego politycznego problemu. Dziś dla Polski dobry jest pokój. Jeśli ktoś uważa inaczej, to chyba nie zna zbyt dobrze historii swojego kraju. Albo ma coś przeciwko jego istnieniu. Biada społeczeństwu, w którym zakazana jest każda próba cofnięcia go znad przepaści, a „pokój” staje się słowem niecenzuralnym.

Paweł Mościcki
https://pawelmoscicki.net/esej/czyja-wojna/

Przypisy

1 Dorota Masłowska, Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną, Lampa i Iskra Boża, Warszawa 2005, s. 5.

2 Robert Kagan, The Beginning of the End of NATO, „The Atlantic”, 10 września 2025,https://www.theatlantic.com/international/archive/2025/09/nato-russia-poland/684165/, dostęp 2 października 2025.

3 Bogusław Łagowski, Żartobliwa polityka zagraniczna, w: tegoż, Polska chora na Rosję, Fundacja Oratio Recta, Warszawa 2016, s. 19.

4 Por. Slavoj Žižek, Wzniosły obiekt ideologii, przeł. Joanna Bator, Paweł Dybel, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2001.

5 Cyt. za: Andrzej Walicki, Polemiką z Adamem Michnikiem, w: tegoż, PRL i skok do neoliberalizmu, t. 1, Fundacja Oratio Recta, Warszawa 2021, s. 42.